

KTO MA WŁADZĘ, TEN MA PRACĘ

Z prof. Bogusławem Fiedorem, prorektorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, o zmianach w OFE, etyce w ekonomii, chciwości, Armagedonie i biologicznym instynkcie przetrwania rozmawia Stanisław Lejda

– Niemal nie ma dnia, by media nie donosiły o nieprawidłowościach w biznesie, głównie w instytucjach finansowych, bądź na styku biznesu i polityki. Coraz głośniejsze są głosy o upadku wartości etycznych w obu tych dziedzinach. Za ten stan niektórzy obarczają współczesną ekonomię, która z pieniądza uczyniła wartość najwyższą. Dzisiaj liczy się zysk – często za wszelką cenę, stąd jego podstawą nierzadko są nieuczciwość i niewiarygodność. Zgadza się pan z tą opinią?

– Coś w niej jest na rzeczy, skoro takie są fakty. Dokonałbym jednak rozróżnienia między ekonomią a gospodarką, rozumianą jako zestaw obiektywnych zjawisk i procesów, które – mimo iż próbujemy je kształtować – w dużym stopniu zachodzą niezależnie od naszej woli. Ekonomia, nauka relatywnie młoda, mniej więcej od trzystu lat próbuje te zjawiska badać i poszukiwać w nich prawidłowości. Pragnie również stworzyć – choć na razie z nikłym skutkiem – metody prognozowania przebiegu zjawisk gospodarczych w przyszłości. W związku z tym można utrzymywać, że kryzysy wyrastają obiektywnie z samej gospodarki. Z drugiej strony, można też mówić o pewnej odpowiedzialności za zjawiska kryzysowe ekonomii jako nauki, czy też ekonomistów jako ludzi, którzy ją uprawiają. Problem należy widzieć we właściwych proporcjach, tzn. nie można ani przesadzać, ani generalizować, a taką pokusę, żeby nadmiernie obciążać naszą profesję, dostrzegam zwłaszcza u przedstawicieli innych dyscyplin wiedzy oraz osób w ogóle niezwiązanych z nauką, w tym dziennikarzy.



– Można nawet spotkać się z głosami o kryzysie ekonomii jako nauki.

– Tu również należy wyraźnie odróżnić kryzys ekonomii jako nauki od kryzysu gospodarki. Jeżeli chodzi o ten pierwszy, reprezentuję raczej stanowisko, że można mówić o pewnych zjawiskach kryzysowych, a nie o kryzysie. Po drugie: kryzys – w sensie poznawczym – jest immanentną cechą rozwoju wiedzy ekonomicznej. Przy czym ekonomiści zwykle nie nadążają za

rzeczywistością, to znaczy zbyt późno rozpoznają i przekazują w formie rekomendacji dla polityki ekonomicznej pewne ważne – podkreślam: ważne – procesy.

– *Między innymi nie przewidzieli ostatniego kryzysu...*

– To jeszcze mała sprawa. Mam na myśli zjawiska znacznie głębsze, jak globalizacja gospodarki, narastanie nierówności w świecie – dochodowych, majątkowych, cywilizacyjnych, technologicznych – czy kształtowanie się gospodarki społeczeństwa opartego na wiedzy. Do tego dochodzi to, co ma już bliższe związki z kryzysem: globalizacja i wirtualizacja – dzięki współczesnym technologiom informacyjnym – rynków finansowych. Trzeba jeszcze wymienić w niedostatecznym stopniu rozpoznane do tej pory i zasygnalizowane dla celów polityki gospodarczej zjawisko – ono niestety się pogłębia – autonomizacji sektora finansowego względem sfery realnej gospodarki. Niektórzy obrazowo opisują to stwierdzeniem: ogon zaczął kręcić psem, a powinno być odwrotnie. Jeżeli nie rozpoznajemy tak fundamentalnych zjawisk, to nasze zalecenia dla polityków gospodarczych również obarczone są sporym błędem. To wszystko powoduje, że użyteczność tego, co proponujemy politykom, jest mała lub wątpliwa. Współczesny kryzys ekonomiczno-finansowy i ewentualną odpowiedzialność ekonomistów za niego widziałbym więc na szerszym tle. Ale sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana.

– *To znaczy?*

– Po pierwsze, ekonomia nie jest nauką homogeniczną. Zawsze funkcjonowały w niej, funkcjonują, i tak będzie także w przyszłości, dość radykalnie różniące się teorie, modele i szkoły. Dzisiaj też można wskazać ekonomistów, którzy prognozowali kryzysy finansowe. Posłużę się przykładem słynnego ekonomisty Hymana Minsky'ego, który już w latach dwięćdziesiątych XX wieku niezmiernie dokładnie przewidział istotę obecnego kryzysu, czy innego bardziej współczesnego amerykańskiego ekonomisty Nouriel Roubiniego, który w pierwszej dekadzie obecnego wieku mówił o podobnych zagrożeniach. Po drugie: często zapominamy, że są różne rodzaje racjonalności – społeczna, ekonomiczna, polityczna, ekologiczna...

– *Spójrzmy więc na problem z punktu racjonalności społecznej, bo każdy kryzys najbardziej dotyka tzw. zwykłych obywateli.*

– Dla nas, ekonomistów, istotniejsze jest rozróżnienie między racjonalnością ekono-

miczną a racjonalnością polityczną. Ta druga najpierw sprowadza się do chęci zdobycia władzy, a potem do jej utrzymania i umocnienia, co bardzo często rodzi pokusę działań – również w sferze gospodarczej – o charakterze populistycznym. Niejednokrotnie politycy podejmują decyzje, które wynikają z wymogów racjonalności politycznej, a nie z rekomendacji ekonomistów. Weźmy konkretny przykład, jakim jest ostatnia dyskusja o otwartych funduszach emerytalnych. Polskie środowisko ekonomiczne było w tej sprawie również bardzo podzielone. Jestem przewodniczącym Rady Naukowej Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, w której skład wchodzi grono najwybitniejszych polskich ekonomistów. Już dwa lata temu rekomendowaliśmy ten kierunek zmian w systemie otwartych funduszy emerytalnych, jaki teraz nastąpił. Jest jednak grupa ekonomistów, którzy uważają inaczej.

– *Twierdzą oni, że państwo zabiera, wręcz okrada swoich obywateli z pieniędzy, które ci odkładali na wyższą emeryturę.*

– Ja tak nie uważam. W gospodarce nic nie jest do końca ani czarne, ani białe. Dla mnie rozstrzygające są argumenty związane z długiem wewnętrznym i deficytem budżetowym. Nie chciałbym jednak sprowadzić naszej rozmowy do dyskusji o OFE. Podałem ją jako przykład rozbieżnych poglądów. Sprawa ta budzi emocje nie tylko w Polsce – większość krajów, która próbowała wprowadzić drugi filar, albo z tego rozwiązania zrezygnowała, albo się z niego całkowicie wycofała. Mam na myśli nie tylko kraje postkomunistyczne, również te o dojrzałej gospodarce rynkowej.

– *Za błędy rządzących i powiększane przez nich długi nie powinno się jednak przerzucać odpowiedzialności na obywateli. Tym bardziej że po pierwszych zmianach w OFE obiecano, że kolejnych już nie będzie. Polaków, po prostu, oszukano. Skoro rozmawiamy o upadku wartości, to zachowanie rządu nie było etyczne.*

– A czy nie było przejawem upadku wartości to, co przedstawiciele OFE opowiadali o wypoczynku pod palmami i tym podobnych rzeczach, mając klientów obietnicami nie do spełnienia? Każdy, kto chociaż trochę zna się na ekonomii, wie, że w inwestycjach długookresowych, a w takie lokuje się środki na emeryturę, stopy zwrotu w takiej perspektywie czasowej nie mogą być trwale wyższe niż tempo wzrostu realnej gospodarki.

– *Obludę można zarzucić obydwu stronom. Kłamały OFE, obiecując emerytury pod palma-*

mi, ale wtórowali im w tym politycy, którzy stworzyli tę ustawę.

– Powiem krótko: to było błędne prawo. Niezależnie od pewnych wątpliwości natury etycznej, dotyczących sposobu promocji swych ofert przez powszechne towarzystwa emerytalne, one po prostu wykorzystały możliwości, jakie im to prawo stwarzało.

– *A kto je najmocniej krytykuje? Np. SLD, a przecież to były minister gospodarki w rządzie Sojuszu, Jerzy Hausner, zapoczątkował prace nad tą ustawą. Popierała ją większość polityków obecnej PO, zasiadających wtedy w ławach sejmowych AWS i Unii Wolności. Ci sami ludzie, którzy wprowadzili tę „niedoskonałą” ustawę, zamiast ją poprawiać, likwidują to, co wtedy zachwalali. Kiedy mówili prawdę – wtedy czy teraz?*

– Na tym przykładzie widzimy, że nastąpiło naruszenie pewnych wartości po wszystkich stronach. Jest jeszcze jeden wstydlivy fakt, o którym nie mówi się wprost. W obecnej dyskusji na temat OFE zabierają też głos skądinąd wybitni ekonomiści – spuszcze zasłonę milczenia na nazwiska, ponieważ jestem częścią tego środowiska – którzy w pewnym stopniu są stroną w tym sporze...

– *Na przykład zasiadają w radach nadzorczych otwartych funduszy emerytalnych?*

– Tak, albo korzystają z bardzo sowego wsparcia płynącego z OFE do zarządzanych przez nich instytucji. Postępują nieetycznie, bo w takiej sytuacji powinni się powstrzymać od aktywnej obrony dotychczasowego systemu emerytalnego. Znam również ekonomistów, którzy byli zaangażowani w reformę OFE, ale w tej chwili publicznie głosu nie zabierają, nie chcąc być posądzonymi, że występują jako strona w tym sporze. I nie ma znaczenia, czy są z lewicy, czy z prawicy, bo prawie wszyscy byli „zamieszani” w tworzenie nowego systemu. Dla mnie najbardziej ewidentnym przykładem naruszenia uczciwości – w tym wypadku naukowej – było założenie, że system OFE nie będzie powiększał długu wewnętrznego, bowiem lukę tę wypełnią dochody z prywatyzacji. Przecież było z góry wiadomo, że to nieprawda! Dochody z prywatyzacji w sposób naturalny się wyczerpują i powoli nie ma już co prywatyzować. Pozostały właściwie te przedsiębiorstwa, które w większości krajów – w różnym zakresie – są kontrolowane przez państwo. To klasyczny przykład działania nieetycznego – nie powiedziano wprost: „Proszę bardzo, wprowadźmy opłaty do OFE, w takiej lub innej wysokości, ale połączmy to z powiększeniem łącznej składki

emerytalnej. Wtedy nawet bez prywatyzacji nie będzie generowania wzrostu deficytu budżetowego”. Ale czy ktoś to zaproponował? Nikt, ponieważ społeczeństwo i przedsiębiorcy tego by nie zaakceptowali. Oznaczałoby to bowiem istotny wzrost kosztów pracy, co przełożyłoby się na niższą konkurencyjność polskiej gospodarki. Mamy dosyć przerażający obraz: wszyscy zachowali się nieetycznie – politycy, ekonomiści, przedsiębiorcy, ludzie z sektora finansowego związani z OFE, a biedny Kowalski w tym wszystkim się nie orientował.

– *Szkoda, że tę wprowadzoną w sposób nieetyczny, jak pan mówi, ustawę próbuje się wyeliminować podobnymi metodami. Wyjmowanie pieniędzy obywatelom z kont OFE budzi wątpliwości także prawników. Profesor Jerzy Stępień, były prezes Trybunału Konstytucyjnego, twierdzi, że łamane są zapisy ustawy zasadniczej, ponieważ zabiera się ludziom nie pieniądze publiczne – jak utrzymuje rząd – lecz ich własność.*

– Spójrzmy na dotychczasowy system emerytalny nie tylko przez aspekt prawny, ale etyczny. Nikt nie może kwestionować, że OFE w formule, w jakiej je zaprojektowano, przyczyniały się do powiększania długu wewnętrznego. A co to jest dług wewnętrzny? To miara pokazująca, w jakim zakresie żyjemy na koszt naszych dzieci i wnuków. Czy etyczne jest niepytanie przyszłych pokoleń o zgodę na to?! OFE zwiększały dług wewnętrzny, więc w coraz większym zakresie żyliśmy kosztem następnych pokoleń. To jest właśnie jaskrawy przykład działania nieetycznego! Odpowiedzialności za to nie przypisują nikomu personalnie, tylko całemu społeczeństwu. Bo co jest głównym przejawem obecnego kryzysu? Nadmierne zadłużenie gospodarstw domowych i nadmierne zadłużenie państwa. Spójrzmy na współczesny kryzys ekonomiczno-finansowy w szerszej perspektywie etycznej. Ma on różne wymiary, ale jest to głównie kryzys zadłużeniowy. To nie tylko wina państwa, również obywateli, bo przecież takich działań od rządzących oczekujemy. Przecież politycy tak naprawdę realizują to, co chcą wyborcy.

– *Nie zawsze. Czasem wydają znacznie więcej, byle tylko zyskać zwolenników. Dla nich liczy się przede wszystkim sukces wyborczy, a nie los przyszłych pokoleń. A czy etyczne było postępowanie instytucji finansowych, które z premedytacją stworzyły klasyczną bankę na rynku kredytów konsumpcyjnych i hipotecznych?*

– Oczywiście, jest to przede wszystkim kryzys finansowy. Ale nie tylko. Banki oraz różne instytucje parafinansowe udzielały kredytów

bez odpowiednich zabezpieczeń. Do tego „produkowały” pewne usługi, tzw. instrumenty pochodne, wśród nich słynne *subprime*, które nie miały realnego pokrycia w ich aktywach. Jest to również kryzys gospodarczy: gospodarki niektórych krajów okazały się niekonkurencyjne, w związku z tym bardzo wzrosło ich zadłużenie zewnętrzne. Poziom długu publicznego w Grecji czy Hiszpanii nie był większy niż w Wielkiej Brytanii czy Belgii. Te dwa kraje uniknęły kryzysu, podczas gdy Hiszpania i Grecja w nim się pograżyły, ponieważ spadła konkurencyjność ich gospodarek. Obecny kryzys ma więc różne wymiary, ale czy ma jakiś wspólny mianownik etyczny? Uważam, i nie jest to pogląd odosobniony, że współczesny kryzys, powiedzmy to językiem prawniczym, w ostatniej instancji jest kryzysem kulturowym. Mam na myśli upadek podstawowych wartości składających się na etos i kulturę ekonomiczną gospodarki rynkowej.

– *Czyli?*

– Chodzi o uczciwość kupiecką, solidność, odpowiedzialność za własną działalność oraz finansowanie zarówno swojej aktywności ekonomicznej, jak i konsumpcji w gospodarstwach domowych z własnych dochodów. Do tych podstawowych wartości dodałbym również pewną empatię, polegającą na wczuwaniu się w los innych. Wprowadzić mogło to być spowodowane względami ekonomicznymi, bo jeżeli inni ludzie są biedni, to nie ma popytu na moje wyroby i usługi. Dramatyczny kryzys wszystkich tych wartości obserwujemy od kilkadziesiąt lat. Powstaje zatem pytanie: jaka jest obiektywna, ekonomiczna przyczyna tej erozji?

– *Odpowiedź wydaje się prosta: pogoń za zyskiem, która sprawiła, że dzisiaj pieniądź dla większości ludzi stanowi wartość nadrzędną.*

– Moim zdaniem, to nie pogoń za zyskiem jest przyczyną. Przytoczę zdanie Horsta Köhlera, byłego szefa Międzynarodowego Funduszu Walutowego i prezydenta RFN. W 2007 roku, czyli tuż przed wybuchem obecnego kryzysu, w wywiadzie dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, powiedział on, że to nie chciwość zabija gospodarkę, lecz nadmierna chciwość. Chciwość, a nawet cynizm, mogą napędzać gospodarkę – taka jest prawda. Zauważył to już w XVIII wieku Bernard de Mandeville, stwierdzając, że z chciwości zbudowano więcej szpitali niż z pobudek moralnych. Najważniejszą przyczyną erozji systemu wartości, który legł u podstaw gospodarki rynkowej, jest – według mnie – coś innego niż chciwość, która w tej sferze życia istniała od zawsze. Jest nią postępujący

w dzisiejszym świecie proces rozdzielenia własności – z którą zawsze związana jest osobista odpowiedzialność – i zarządzania. Dotyczy to przede wszystkim wielkich przedsiębiorstw, zwłaszcza sektora finansowego. Jest to proces nieunikniony, wynikający z wymogów dzisiejszej technologii i współczesnego zarządzania. Jeżeli jest to proces obiektywny, należy zakładać, że ta erozja będzie postępować. W związku z tym powstaje wielki znak zapytania nad przyszłością gospodarki rynkowej.

– *Zastanawiał się pan nad nią?*

– Nie ja jeden, robili to przede wszystkim tak wielcy ekonomiści, jak Joseph Schumpeter czy Thorstein Veblen. I nie byli optymistami. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku niektórzy ekonomiści, wśród nich John Kenneth Galbraith, uważali, że istnieje jakaś przestrzeń dla optymizmu. Te nadzieje wiązały przede wszystkim z aktywną rolą państwa jako arbitra. Współczesność dość brutalnie osłabia optymizm Galbraitha i innych podobnie myślących, ponieważ państwo okazało się arbitrem słabym. Stało się natomiast kolejnym graczem w grze rynkowej, w dodatku kierującym się kryteriami racjonalności politycznej, które akurat gospodarce nie służą. Czyli był to optymizm oparty na marnych podstawach.

– *Jaka zatem przyszłość czeka gospodarkę rynkową?*

– Wiemy, że system oparty na wolnym rynku i prywatnej przedsiębiorczości nie ma realnej instytucjonalnej alternatywy. Trawestując Winstona Churchilla i jego słynne zdanie o demokracji, można powiedzieć, że rynek jest najgorszym rozwiązaniem, jakie znamy, ale lepszego nie ma. Powinniśmy się więc zastanawiać, co zrobić, żeby w ramach tego systemu przeciwdziałać negatywnym skutkom procesu oddzielenia własności i zarządzania. Takie działania, na szczęście, już się pojawiają, są nimi regulacje, tzw. ostrożnościowe, dotyczące sektora finansów. Przykładem może być zestaw przepisów znany jako Bazylea III, który znacznie podniósł tzw. adekwatność kapitałową instytucji finansowych. Teraz muszą mieć znacznie więcej własnych aktywów, żeby udzielać kredytów czy emitować pieniądź bezgotówkowy. Regulacje ostrożnościowe nie mają bezpośredniego charakteru prawa międzynarodowego, stąd otwarta jest kwestia, czy i w jakim zakresie będą one akceptowane w sektorze finansowym. Oprócz wspomnianych rozwiązań mamy też regulacje krajowe, które w dużym stopniu są zgodne z zaleceniami Bazylei III oraz międzynarodowy-

mi standardami rachunkowości. Obecny kryzys udzielił nam jeszcze jednej lekcji: płonna okazała się wiara w zbawcze skutki deregulacji rynków finansowych. Daleko posunięta deregulacja, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, stała się jedną z przyczyn kryzysu.

– *A nie ma ryzyka, że teraz pójdziemy zbyt daleko w drugą stronę i nadmiernie uregulujemy gospodarkę, która tylko z nazwy pozostanie rynkowa? Przedsiębiorcy już narzekają na ograniczający ich działalność wzrost biurokracji i nadmiar przepisów.*

– Mam nadzieję, że wyciągniemy właściwe wnioski i zbyt daleko w regulacjach nie pójdziemy. Wiemy jednak, jak duża jest pokusa nadużyć w instytucjach finansowych, związana ze wspomnianym rozdzieleniem własności i zarządzania. Zarządzający są opłacani niesamowicie wysoko, chociaż nie ryzykują własnych pieniędzy ani swojej własności, w związku z tym mają tendencję do uruchomienia coraz większej dźwigni finansowej oraz produkcji różnych wątpliwej jakości – a nawet, jak potem je określano, toksycznych – instrumentów pochodnych. Jedną z przyczyn braku kryzysu finansowego w Polsce było m.in. to, że u nas toksyczne instrumenty finansowe występowały w bardzo niewielkim zakresie.

– *Sporo polskich firm mocno straciło na opcjach walutowych, które – o ironio! – miały zabezpieczać te firmy przed utratą gotówki.*

– Skala stosowania tego instrumentu miała, mówiąc kolokwialnie, poziom brudu pod paznokciem. W skali mikroekonomicznej też obserwujemy pewne działania regulacyjne. W wielu instytucjach finansowych dostrzega się, że zgubne było dążenie za wszelką cenę do maksymalizacji przychodów w krótkim czasie, bez zwracania uwagi na długookresowe skutki takiej taktyki. W dłuższym okresie często ogromnie zwiększała ona ekspozycję na ryzyko. Próbuje się więc w większym stopniu uzależnić wynagrodzenie czołowych menedżerów w sektorze finansowym od długookresowych skutków ich działalności. Kolejne działania zapobiegawcze zmierzają do zahamowania nadmiernego wzrostu apetytów konsumpcyjnych.

– *Dotychczas uważano, a wielu ekonomistów sądzi tak nadal, że to popyt konsumencki najsilniej napędza gospodarkę.*

– Tymczasem okazał się jedną z przyczyn kryzysu. Najpierw spowodował bańkę na rynku mieszkaniowym, a potem wielkie jej pęknięcie. Dlatego w wielu krajach, także w Polsce, wprowadzono minimalny poziom własnego

wkładu przy zaciąganiu kredytów, włącznie ze sprawdzaniem, czy nie ma on źródła w innej pożyczce. W tym wypadku również dotykamy aspektu etycznego. Bańka na amerykańskim rynku nieruchomości miała swoje źródło m.in. w przesłankach ideologicznych, które w owym czasie podzielał Alan Greenspan. Kierowana przez niego FED poprzez politykę niskich stóp procentowych (czytaj: tanich kredytów) miała spowodować, że *american dream will come true*, czyli, spełni się to, że każdy – w tym niemający okazałych dochodów, a nawet pracy – będzie mógł dzięki tanim kredytom kupić dom. Ta aksjologia prosperowała przez szereg lat.

– *Teraz Amerykanie również utrzymują stopy procentowe na wyjątkowo niskim poziomie i ich gospodarka zaczyna zdecydowanie przyspieszać. Niskie stopy procentowe z reguły wzmacniają wzrost gospodarczy.*

– Problem jest bardziej złożony. Niskie stopy procentowe przyspieszają wzrost gospodarczy, ale jedynie teoretycznie, bo z jednej strony czynią kredyt łatwiej dostępnym, a z drugiej mogą przyspieszać procesy inflacyjne. Inflacja to taki powszechny podatek, zjadający skutki nominalnego wzrostu gospodarczego, w długim okresie ona też wywołuje zjawiska kryzysowe. Trzeba być ostrożnym, ponieważ w makroekonomii nie ma idealnych rozwiązań. Jako nauka toczy ona pewną subtelną grę, w której nie wszystko jest obiektywne. Wiele wniosków wyciągamy jedynie na podstawie budowanych przez siebie scenariuszy, ale czy i w jakim zakresie opisują one rzeczywistość, to już inna kwestia. Podobnie jest ze stopami procentowymi.

– *Mówiąc o niezbędnych regulacjach, wspominał pan o instrumentach pochodnych. To dzięki nim instytucje finansowe doprowadzają do kolejnych baniek i krachów w różnych segmentach rynku kapitałowego: np. surowcowym, niedawno w złocie itp. Kiedyś podstawową cechą banków była stabilność, solidność i bezpieczeństwo kapitału, teraz instytucje finansowe cechuje zmienność i wywoływanie u klientów skrajnych emocji – od chciwości po strach przed utratą zgromadzonych pieniędzy. Banki inwestycyjne najwięcej zarabiają na zmienności kursów, więc nie dbają o stabilny wzrost portfeli swoich klientów. Niejednokrotnie zachęcają ich do lokowania oszczędności w ryzykowne instrumenty, także te oparte na dźwigni finansowej. Dzięki nim wprawdzie można szybko się wzbogacić, ale zwykle czyszczą one z gotówki konta nieprofesjonalnych inwestorów. Nie obserwuje pan takiego zjawiska?*

– Obserwuję, chociażby jako w miarę aktywny uczestnik III filaru systemu ubezpieczeń społecznych. Mam nadzieję, że mój osobisty doradca bardziej dba o moje dobro niż o interes banku, ale oczywiście nie mogą być tego pewni. To, co teraz powiem, będzie bardzo obrazoburcze, ale może już pora na regulacje, jakie istnieją np. w sektorze farmaceutycznym? We wszystkich krajach mamy urzędy nadzorujące leki wprowadzane do obrotu, a więc może i Komisja Nadzoru Finansowego lub inna agenda powinna oceniać jakość nowych produktów finansowych. Zwłaszcza wprowadzanych przez banki instrumentów pochodnych pod kątem tego, czy – jak opcje walutowe – nie charakteryzują się one wyraźną nierównowagą. To znaczy niosą duże prawdopodobieństwo korzyści dla instytucji finansowej, a bardzo małe dla klienta.

– I odwrotnie: duże ryzyko straty dla klienta...

– ... a małe dla instytucji finansowej. Gdyby nie udało się pójść tak daleko w kontroli instrumentów pochodnych, widziałbym inną możliwość: wprowadzenie warunków brzegowych dla nowo tworzonych derywatów. Na przykład bank, oferując nowy produkt finansowy, musiałby w przejrzysty i zrozumiały dla klienta sposób przedstawić wszystkie aspekty tej propozycji, a nie jest to obowiązująca praktyka. Umowy dotyczące wielu usług finansowych są pisane takim ekonomicznym żargonem, że przeciętny Kowalski często nie ma czasu, a niekiedy możliwości, żeby się z tym wszystkim zapoznać. Jeżeli posiadamy skuteczne mechanizmy ochrony konsumenta, który kupuje lodówkę, pralkę czy wiertarkę, to dlaczego nie wprowadzimy podobnych zasad w wypadku instrumentów pochodnych? Wydaje mi się, że w dłuższej perspektywie leżałoby to w interesie instytucji finansowych. Jeżeli będą one prowadziły do nadmiernych strat swoich klientów, to ci prędzej czy później od takich instytucji się odwrócą.

– Od lipca 2013 roku jest pan członkiem Komitetu Gospodarczego Myśli Strategicznej przy wicepremierze Januszu Piechocińskim. Dyskutujecie tam również o regulacjach chroniących klientów przed machlojkami bankierów? Czy w ogóle problemy etyczne są w tym gronie poruszane?

– Komitet istnieje dopiero pięć miesięcy, w związku z tym jest jeszcze za wcześnie, by odpowiedzieć na to pytanie. Ale w latach 1994–2005 zasiadałem w Radzie Strategii Społeczno-Gospodarczej przy Radzie Ministrów, a przez osiem lat (1997–2005) byłem jej wiceprzewodniczącym. Kwestie moralne, etyczne często sta-

wały na naszych posiedzeniach. Mam nadzieję, że podobnie będzie w wypadku komitetu przy premierze Piechocińskim i nie będziemy koncentrowali się wyłącznie na bieżących problemach gospodarczych. Dzisiaj bowiem widzimy, jakie zagrożenia stoją przed współczesną gospodarką rynkową, musimy więc dyskutować, jak z nich wyjść.

– Jednymi z takich zagrożeń są korupcja, nepotyzm, oszukiwanie klientów i inne negatywne zjawiska. Oslabiają wzrost gospodarczy, zabijając właściwą dla wolnego rynku konkurencyjność. Wyliczono, że polska gospodarka traci z tego tytułu rocznie co najmniej kilka miliardów złotych. Do Polaków docierają informacje zawarte w Kumoterskiej liście płac opublikowanej przez „Gazetę Wyborczą”. Wcześniej „Puls Biznesu” zamieścił podobny – prawie czterystuosobowy – wykaz. Oto jedna z ostatnich informacji wyciągnięta na chybił trafił z Internetu: kuzynka Aleksandra Grada i brat Krzysztofa Kwiatkowskiego otrzymali – poza konkursem – wysokie stanowiska w państwowej spółce Polski Cukier. Politycy już nie walczą z takimi przypadkami tak ostro, jak kiedyś. Pojawiają się nawet opinie, że z czasem doprowadzi to do przyzwolenia społecznego dla tego typu praktyk.

– Myślę, że nigdy do tego nie dojdzie. Postawmy jednak ten problem we właściwej proporcji. Korupcji, nielegalnego lobbingu, nepotyzmu czy klientyzmu nie należy postrzegać w kategoriach zerojedynkowych. To znaczy, że one są albo ich nie ma. Bądźmy realistami, tych zjawisk nigdy, w żadnym kraju i w żadnym czasie nie udało się w pełni wyeliminować. I w przyszłości też się nie uda. Pozostaje jednak problem skali. Ta w Polsce jest za duża, aczkolwiek nieporównywalnie mniejsza niż u naszych wschodnich sąsiadów czy we Włoszech. Ale do krajów skandynawskich nam bardzo daleko. Że to się negatywnie przekłada na wzrost gospodarczy, to oczywiście. By te zjawiska ograniczać, należałoby udoskonalić wiele mechanizmów instytucjonalnych, w tym prawo oraz wewnętrzne zasady funkcjonowania administracji publicznej i rządowej. Nie widzę zdecydowanej woli, żeby iść w tę stronę.

– Politycy, jeżeli nawet już walczą z tymi zjawiskami, to nie dlatego, że szkodzą one gospodarce, ale dlatego, że psują ich wizerunek. Donald Tusk w wywiadzie dla „Polska The Times” powiedział: Politykom czasami odbija, dają się korumpować, zapominają o potrzebach ludzi. Jeśli będziemy zdolni do pozbycia się takich osób, oczyszczenia swoich szeregów, znajdzie-

nia nowych sił, to wygramy te wybory. *Gdyby premier stwierdził, że te zjawiska trzeba eliminować, ponieważ są patologiczne, należałoby tylko przyklasnąć. Powiedział jednak coś niepokojącego: trzeba je zwalczać, bo wyborcy odwrócą się od skorumpowanych, dbających jedynie o własny interes polityków, i mogą nie zagłosować na jego partię. Opozycyjni komentatorzy mówią nawet, że w środowiskach władzy istnieje cicha akceptacja dla tego typu zjawisk.*

– Niepokoi mnie to, co pan powiedział, ale potwierdza to jedynie moje wcześniejsze słowa: istnieje tzw. racjonalność polityczna, która kieruje poczynaniami rządzących.

– *W tę racjonalność wkalkulowany jest też relatywizm w ocenie naganych etycznie zachowań. Wszyscy deklarują wolę walki z korupcją, byle nie we własnych szeregach. Towarzyszy partyjnych czy ludzi ze swego otoczenia oceniają łagodniej, podczas gdy za te same wykroczenia przeciwników politycznych najchętniej wsadziliby do więzienia.*

– Dość dobrze pamiętam rządy SLD, AWS (byłem wtedy wiceprzewodniczącym RSSG) PiS i teraz Platformy Obywatelskiej. Nic się nie zmieniło. Na usta ciśnie się pytanie: dlaczego? Odpowiedź brzmi następująco: żeby z takimi zjawiskami walczyć, potrzebna jest ponadpartyjna wola, a takiej w Polsce nie ma. Tymczasem jest ona fundamentem dla jakichkolwiek ważnych reform. Systemu zabezpieczenia społecznego nie zreformuje jedno ugrupowanie, chyba że będzie miało większość konstytucyjną w parlamencie. U nas żadna partia w dającej się przewidzieć przyszłości nie będzie stanowiła dwóch trzecich w zgromadzeniu narodowym; to raczej mrzonka, żeby obecne dwie główne siły polityczne w Polsce porozumiały się w jakichkolwiek kwestiach fundamentalnych. Myśląc jedynie w kategoriach słupek sondażowych, okładają się nawzajem razami i prześcigają w populizmie, co nikomu nie służy.

– *Zabrzmiało to dość pesymistycznie. Musimy zatem przyzwyczaić się do tego, że dobrą pracę otrzymamy tylko po znajomości albo z partyjnego nadania?*

– Powiem jeszcze raz: Polska nie jest jakimś ekstremum. W UE czy OECD utrzymujemy się, mówiąc językiem prognoz hydrologicznych, w strefie stanów średnich, czyli korupcja nie jest u nas tak rozwinięta jak w państwach południowej Europy, ani, niestety, nie jest u nas tak dobrze jak w krajach nordyckich. Badania prowadzone przez Transparency International czy Helsińską Fundację Praw Człowieka pokazują,

że sytuacja u nas jednak lekko się poprawia, chociaż – moim zdaniem – w stopniu niezadowalającym. Główny problem polega na tym, że partie polityczne oraz ugrupowania pozapartyjne – te rządzą przede wszystkim Polską gminną i powiatową – wciąż traktują zdobycie władzy jako najlepszy sposób na zabezpieczenie sobie miejsc pracy. Inaczej mówiąc, kto ma władzę, ten ma pracę. To na pewno nie jest dobre.

– *Jest sposób, by te praktyki powstrzymać?*

– Nie ma żadnego cudownego remedium na to zjawisko. Chyba że doszłoby do porozumienia partii politycznych, że będą zwalczać takie praktyki, niezależnie od tego, jak to się przełoży na notowania wyborcze. Trzeba jednak być realistą, kolesiostwa i nepotyzmu nigdy do końca wyeliminować się nie da.

– *Niektórzy ekonomiści twierdzą, że dzieje się tak dlatego, ponieważ w Polsce nadal jest za dużo państwa w gospodarce.*

– Tu również mieścimy się w strefie stanów średnich. Udział państwa w PKB wynosi czterydzieci parę procent. To znacznie mniej niż w Niemczech (prawie 50 procent) oraz w krajach skandynawskich (niespełna 60 procent) i raptem tylko 10 procent więcej niż w USA (około 35 procent). Sugestie niektórych hurra-liberalnych ekonomistów, że – jak na początku XX wieku – można by zejść z udziałem państwa do 10–12 procent, co byłoby najskuteczniejszą metodą walki z korupcją, są raczej iluzją. Do tak szczupłego państwa powrotu już nie ma. Sto lat temu zajmowało się ono głównie – mówię w dużym uproszczeniu – systemem prawnym, monetarnym, bezpieczeństwem wewnętrznym i zewnętrznym. Dzisiejsze funkcje państwa są znacznie szersze i powszechnie akceptowane, w związku z czym jego udział w PKB nie może być na poziomie 10–12, lecz co najmniej trzydziestu kilku procent. Ważniejszą rzeczą jest coś innego: ograniczanie korupcji opartej na zasadzie „kto ma władzę, ten ma pracę” może się dokonać poprzez zmniejszenie udziału własnościowego państwa w gospodarce. Czyli ograniczenie do minimum liczby spółek, które państwo rzeczywiście powinno kontrolować. Są takie firmy – energetyczne, obsługujące gałęzie infrastrukturalne, sieciowe itp. – w których we wszystkich krajach państwo jest wyłącznym albo kontrolnym właścicielem. W Polsce kontroli państwa wynikającej z własności wciąż jest zbyt dużo i to w sposób naturalny rodzi przestrzeń dla – nie chcę tego nazwać korupcją – klientyzmu, nepotyzmu, kolesiostwa i związanych z tym negatywnych zmian etycznych.

– Wśród większości komentatorów przeważa pogląd, że nieetyczne zjawiska, o których mówimy, będą jednak narastały. W epoce pogoni za pieniądzem nadchodzą czasy nie dla ludzi uczciwych, tylko dla tych, którzy wyznają następującą życiową zasadę: „Jak cię oszukałem, zrobiłem biznes, dałeś się oszukać, nie zrobiłeś biznesu”. Rzeczywiście świat zmierza w tym kierunku?

– Podczas naszej rozmowy starałem się być optymistą, wskazałem na kilka lekcji płynących z kryzysu. Pan przytacza pogląd, że takie nauki nie są wyciągane, a erozja systemu wartości będzie się pogłębiać – ze wszystkimi tego negatywnymi skutkami. Powiem żartem: na szczęście ludzie tak długo nie żyją, więc sądzę, że tego nie doczekam. A mówiąc serio, nie uważam, że tego typu scenariusz się ziści, bo jednak ludzie są obdarzeni zdolnością do refleksji, mają instynkt samozachowawczy. Nasze działania ekonomiczne też opierają się na pewnych instynktach, nie

tylko na kalkulacji i racjonalności. Mam na myśli biologiczny instynkt przetrwania oraz instynkt bezpieczeństwa. I chcę mieć nadzieję, że taki Armagedon, o jakim pan wspomniał, jednak nie nastąpi. Ani dla mnie, ani dla moich dzieci czy wnuków.

Rozmawiał Stanisław Lejda

23 grudnia 2013

Bogusław Fiedor – ekonomista specjalizujący się w historii myśli ekonomicznej oraz mikroekonomii, nauczyciel akademicki związany z Uniwersytetem Ekonomicznym we Wrocławiu, w latach 2005–2012 rektor tej uczelni. Wiceprzewodniczący Rady Naukowej Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN, przewodniczący Rady Naukowej Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Autor prawie czterystu publikacji naukowych, w tym ponad dwudziestu książek.

Pavel Brázda, „Nad martwą dziewczyną”

